

PIERWSZE DNI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

(15 i 16 listopada 1924 r.)

W dniach 15 i 16 listopada 1924 r. Piłsudski wygłosił w sali Starego Teatru w Krakowie dwa niżej przytoczone odczyty pt. «Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej».

Po rozpatrzeniu prób tworzenia w pierwszej połowie listopada 1918 r. w najrozmaitszych częściach Polski «pótrzędów» Piłsudski pragnie ustalić, od kiedy Polska, jako państwo, zaczęła na nowo istnieć. Jako datę ostatecznego sformowania się państwa polskiego przyjmuje Piłsudski dzień 28 listopada 1918. W tym dniu bowiem został wydany dekret zarządzający wybory do sejm, dekret, który został przez wszystkich obywateli usłuchany.

Drugim tematem poruszonym w odczytach jest analiza «stylu» tych dni, w których Polska na nowo powstawała.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się a) stenogram tych odczytów w jego surowej formie, b) opracowanie stylistyczne tego stenogramu, dokonane przez K. Switalskiego, które było podstawą dla tekstu ogłoszonego w wydawnictwie «Pism—Mów—Rozkazów». Tekst niżej przytoczony jest przedrukiem z tego wydawnictwa. T. VIII, str. 141—181.

WYKŁAD I

Szanowne panie i szanowni panowie! Gdy rok temu namyślałem się nad odczytami swoimi w Krakowie, próbowałem również ustalić i tytuł tych odczytów. Jako tytuł wybrałem: «Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej».

Tytuł jest dwuznaczny. Słowo: «dzień» ma bowiem dwa znaczenia: jedno — to dzień w pojęciu astronomicznym, to okres czasu 24 godzin, mający swą numerację w miesiącu, a więc to, co się datą nazywa. Drugie znaczenie słowa: «dzień» — jest figuralne. Oznacza wtedy ten wyraz nie ściśle 24 godziny, a okres czasu, który każdy sobie najzupełniej dowolnie wyznacza.

Byłem w walce z sobą, w jakim znaczeniu mam użyć słowa: «dzień» — czy w znaczeniu astronomicznym, czy przenośnym. Wolałem określenie figuralne. Mówiąc więc o pierwszych dniach Rzeczypospolitej, biorę okres czasu między koń-

cem października a końcem listopada, gdyż ściśle daty z wielką trudnością dają się ustalać.

Ta walka właśnie z samym sobą nad określeniem bardziej ścisłym czasu jest może charakterystyczną rzeczą dla tej epoki. Świadczy to o trudności oznaczenia daty, kiedy Rzeczpospolita Polska, jako ustrój państwowy, mogła o sobie powiedzieć: jestem!

Robiłem najrozmaitsze próby, aby dojść do próby określenia tej daty. Panowie wiecie dobrze, że macie zawsze i wszędzie wielkie trudności z ustaleniem dat czy to uroczystości, czy też takich czy innych przykrości osobistych. Zawsze będziecie wtedy błądzić. To samo dzieje się, gdy idzie o całość Rzeczypospolitej Polskiej. Staralem się ustalić tu datę, próbując swej metody, że tak powiem, historycznej.

Chciałem tą metodą ustalić ściśle datę, związaną z tym faktem, że Rzeczpospolita jest, że to zjawisko historyczne zaczyna istnieć. Próbowałem drogi, być może, błędnej, ale związanej z moim sposobem myślenia. Próbowałem drogą analizy poszczególnych prób rządzenia znaleźć wśród najrozmaitszych dat, jakie mogą istnieć w umyśle lub jakie pozostawiła historia, datę jedną, albo przynajmniej daty częściowe, parcjalne, w stosunku do pracy rządzenia.

Każdy ustrój państwowy ma rząd, który ma prawa w stosunku do swych obywateli. Data powstania każdego nowego tworu państwowego dałaby się historycznie określić jakimś przejawem życia, np. jakąś uroczystością, podobną do uroczystości położenia kamienia węgielnego pod gmach, którego przecież jeszcze nie ma.

Skoro jednak każdy ustrój państwowy ma rząd, który ma prawa w stosunku do swych obywateli, a ci — obowiązki wobec niego, to istotnym sprawdzianem istnienia jakiegoś ustroju państwowego jest to, że przez pewien okres czasu prawa rządu są historycznie zbadane i posłuszeństwo tych, którzy go na pewnym obszarze, związanym z ustrojem państwa, słuchają i słuchać muszą, jest historycznie sprawdzone.

Wobec tego mam do czynienia z dwiema rzeczami — ze zjawiskiem Rzeczypospolitej Polskiej z jednej strony, a z drugiej z próbami odszukania tej daty, gdy obywatele Rzeczypospolitej Polskiej usłuchali jakiegoś nakazu przez pewien okres czasu.

Fakt, że trudno jest znaleźć jakąś uroczystość wspólną dla wszystkich — wspólną dla wszystkich datę — świadczy o tym, że Rzeczpospolita Polska się stawała, t. zn., że upłynął pewien okres czasu, zanim się stała.

W tym okresie czasu robiono wszędzie najrozmaitsze próby czy półpróby tworzenia półrządów, próby, które dawały te czy inne rezultaty i które w ten sposób popychały do ostatecznego historycznego faktu, że Rzeczpospolita jest.

Przechodzę do analizy tych prób.

Zaczynam od Krakowa, bo jestem jego gościem. Jeżeli, panowie krakowianie, usłyszycie może jakieś gorzkie słowa, to znaczy tylko, że podzielacie los na równi z innymi, którzy podobnych określeń też słuchać mogą. Spokojnie stawiam swoją osobę w rzędzie tych, którzy mogą słuchać gorzkich słów. Dlatego proszę, abyście nie byli rozgoryczeni, bo nie będę mówił w chęci dokuczenia krakowianom, a będę przytaczał historyczne fakty, którym ani ja, ani nikt inny porazić nie może.

Kraków chce święcić dzień 30 października, przynajmniej próbuje to ustalić. Co oznacza dzień 30 października? Oznacza akt zniesienia sposobem gwałtu tego, co istniało przedtem, t. zn. rządu austriackiego i jego organów. Panowie! Akty gwałtu mogą istnieć, lecz nie oznaczają jeszcze rządzenia. Akt gwałtu, dokonany więc na przedstawicielach rządu austriackiego w Krakowie, t. zn. rządu zaborczego w stosunku do części Polski, nie jest jeszcze równoznaczny z aktem rządzenia. Historycznie rzecz biorąc, ludzie, którzy dokonali tego gwałtu, nie rządzili. Ba, mam dokumenty, które stwierdzają, że rządzić nie chcieli. Instytucją tu działającą była «Komisja Likwidacyjna»¹⁾. Gdy zaś uprzytomnimy sobie samą nazwę: «Komisja Likwidacyjna», to jest już w tym bardzo ostrożny stosunek do spraw rządzenia, albowiem jest ona «komisją» i w dodatku «likwidacyjną». Wygląda to na to, że «Komisja Likwidacyjna» likwiduje wszystko i likwiduje i siebie.

Nazwa wynikła z tego, że «Komisja Likwidacyjna» rozpoczęła swoje istnienie i swoją pracę na podstawie aktu nie swojego, ale obcego, zaborczego państwa, na podstawie aktu cesarza Karola, który rozwiązał niejako Austrię²⁾. Oparta na

¹⁾ Komisja Likwidacyjna powstała w Krakowie 28 października 1918 roku; składała się z 23 posłów polskich do b. austriackiego parlamentu, reprezentujących wszystkie stronnictwa.

²⁾ W manifeście z dnia 16 października 1918 roku cesarz Karol zapowiedział przebudowę Austrii na państwo związkowe, «w którym każdy szczepek na obszarze osiedlenia tworzy swój własny organizm państwowy». Ustęp tego manifestu, odnoszący się do Polski, brzmiał: «Nie przesądza się przez to bynajmniej zjednoczenia polskich obszarów Austrii z niepodległym państwem polskim».

tym akcie «Komisja Likwidacyjna» zaczęła rządzić tą częścią Polski, która była związana z Krakowem. Dlatego nazwała się w tak dziwny sposób «Komisją Likwidacyjną» — likwidująca stan zaboru i nie mająca właściwie charakteru rządu.

Dość jest bowiem trudno przypuścić, aby sam fakt rządu opierał się na likwidacji. Powtarzam, że to oznacza i likwidację samej siebie, co też historycznie i nastąpiło. Komisja ta jest związana z likwidowaniem Austrii, ma zatem «Komisja Likwidacyjna» z natury rzeczy cechy współrządzenia i pozbawiona jest charakteru tego, co jest zawsze rządem — suwerenności w stosunku do swych działań.

Panowie! Mam przed sobą pewien dokument, który chcę scharakteryzować. Autorami jego, jak wydaje się z treści odezwy, są ludzie, którzy akt 30 października, t. j. rozbrojenie, robili. Podpisana jest ta odezwa przez Polską Organizację Wojskową. Czytamy w niej: «Nocy dzisiejszej dokonaliśmy tego, czego naród pragnął. W miejsce austriackich wojsk i obcej komendy staje garnizon polski, poddany najwyższej władzy w kraju, Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Dziś rano oddajemy owoc naszej pracy do dyspozycji Polskiej Komisji Likwidacyjnej, jej decyzje i jej rozkazy wskażą dalszą drogę postępowania».

Ludzie, którzy dokonali tego aktu rozbrojenia i usunięcia cech zaborczych, mogli działać albo z poruczenia, albo bez poruczenia «Komisji Likwidacyjnej», której się potem poddali. Nie chcę tego badać i nie chcę tego faktu, którego dobrze nie znam, gdyż przy tym nie byłem, analizować. Odezwa świadczyłaby jednak, że «Komisja Likwidacyjna» tego rozbrojenie nie nakazała i publicznie do tego się nie przyznała, że «Komisja Likwidacyjna» — rządząca, czy próbująca rządzić — nie uławiła tego aktu.

Przypomina to z naszej przeszłości fakt, gdy Piotr Wysocki z Zaliwskim urządzili noc 29 listopada i nazajutrz szukali — używając słów cytowanej przed chwilą odezwy — «do czyjej dyspozycji» mają «oddać owoc swej pracy», i jak wiemy, oddać tej władzy nie mieli komu.

Dokumenty, które za chwilę przytoczę, świadczą, że ten stan współrządzenia trwał dość długo. Czytamy w «Czasie» z dnia 6 listopada 1918 r. następujący telegram własny z Wiednia:

«Dzienniki tutejsze donoszą, że minister dla Galicji dr Gałęcki podał się do dymisji».

W «Czasie» z dnia 8 listopada 1918 r. znajdujemy w zwią-

zku z tą wiadomością inny telegram własny z Wiednia, który mówi: «Ministrowi Gałęckiemu Komisja Likwidacyjna poleciła zastępstwo w Wiedniu. Minister Gałęcki z ramienia Komisji Likwidacyjnej objął agendy poszczególnych resortów ministerstwa, o ile one dotyczą Galicji. Wiadomość, podana przez niektóre dzienniki tutejsze, jakoby minister Gałęcki podał się do dymisji, jest nieprawdziwa».

Samo określenie, mówiące tu o jakiejś niewyraźnej pracy «Komisji Likwidacyjnej» i byłego ministra dla Galicji przy rządzie austriackim, świadczą o tej połowiczności poglądów, o tej połowiczności decyzji, o tym stanie współrzędzenia z innymi.

Najcharakterystyczniejszą pod tym względem dla moich wywodów jest depeza z dnia 9 listopada 1918 r., w tymże «Czasie» pomieszczona. Brzmi ona: «Polnische Nachrichten» upoważnione są ze strony miarodajnej do oświadczenia, że doniesienie, jakoby prezydent ministrów Lammasch ¹⁾ dotąd nie załatwił prośby dra Gałęckiego o dymisję, z tego powodu jest nieprawdziwe, że p. Gałęcki prośby takiej w ogóle nie wręczył. Także twierdzenie, że p. Gałęcki powołany został przez rząd warszawski do Komisji Likwidacyjnej jest nieprawdziwe. Dr Gałęcki zamianowany został przez Polską Komisję Likwidacyjną jej reprezentantem na Wiedeń».

Jak widzicie panowie, znowu mamy akt, który świadczy o jednym i tym samym. «Komisja Likwidacyjna» nie ma pretensji, aby być rządem polskim. «Komisja Likwidacyjna» ma tylko tendencję likwidowania, razem z innymi krajami Austrii. To jest jej cel i zadanie. Pracą jej jest nie rządzenie, a współrządzenie. Suwerenności «Komisja Likwidacyjna» w stosunku do siebie nie ma i nie ma jej w stosunku do kraju.

Mamy tu do czynienia z charakterystycznym dla owego czasu stawianiem się Polską — okolic, że tak powiem, Krakowa, gdyż jest faktem historycznym, że wszelka praca «Komisji Likwidacyjnej», mająca jakiś jednolity charakter, zatrzymała się jednak na granicach niedalekich stosunkowo od Krakowa. «Komisja Likwidacyjna» nie sięgnęła swoją działalnością poza linię, od której na północ zaczynała się część Rzeczypospolitej Polskiej, okupowana wtedy przez Austrię; zatrzymała się na Sanie, nie przekraczając prawem rządzenia tej granicy, ponieważ tam to prawo zostało skontrolowane przez innych ²⁾; nie wspominając już o takich tworach, z którymi i ja miałem po-

¹⁾ Henryk Lammasch był ostatnim premierem Austrii przed jej rozpadnięciem (od 25 X. do 1 XI. 1918).

²⁾ Mowa o Ukraińcach.

tem swoje kłopoty, jak np. Tarnobrzeg¹⁾ i okolice, gdzie był rząd księdza Okonia, nie poddający się wcale «Komisji Likwidacyjnej». Zakres jej działania jest więc terytorialnie znacznie ograniczony. Cały ten okres czasu jest próbą rządzenia, jest okresem stawania się Polską — jednej części naszego kraju.

Przechodzę do innego zaboru, do zaboru pruskiego, w którym znajdziecie zupełnie analogiczne zjawiska robienia w owym czasie prób stawania się Polską. Próba rządzenia polskiego w tej dzielnicy znana jest pod nazwą t. zw. «Rady Ludowej» w Poznaniu²⁾. Zobaczmy, jak ona się stworzyła.

Pierwsze podobieństwo między zaborem austriackim a pruskim, które rzuca się w oczy, polega na tym, że próby rządzenia polskiego wywołane są przez nie co innego, jak przez akty samych zaborców, zmieniających swe urzędnia państwowe. Po t. zw. rewolucji nastąpił w Niemczech rząd o dzikiej nazwie, nieznaney dotychczas w świecie Zachodu, a importowanej z Rosji: «Soldatenraty» i «Arbeiterraty»³⁾, rady robotnicze i żołnierskie. Z nakazu zaborcy zostały utworzone «Soldatenraty» i «Arbeiterraty» wszędzie na całej przestrzeni państwa niemieckiego. W Poznaniu również z nakazu rządu niemieckiego zawiązały się «Soldatenraty» i «Arbeiterraty», jako część prac państwa niemieckiego. Do tego, że tak powiem, przyczepiła się strona polska i ogłosiła, że istnieje Komitet Obywatelski polski, który został utworzony poprzednio, a teraz z mroków tajności wychodzi na jaw.

Mam przed sobą «Kurier Poznański» z dnia 12 listopada 1918 r. Jest to drugi czy trzeci dzień po rewolucji berlińskiej

¹⁾ W powiecie tarnobrzeskim, w Małopolsce zachodniej, na skutek działalności księdza Eugeniusza Okonia i posła Tomasza Dąbala, część ludności nie uznała władz, istniejących w Warszawie, Krakowie i Lwowie i utworzyła tzw. «Republikę Tarnobrzeską». Działalność Okonia i Dąbala rozpoczęła się w listopadzie 1918 roku; rozruchy, wywołane tą działalnością, zostały ostatecznie stłumione w końcu stycznia 1919 r.

²⁾ Por. t. V, str. 63.

³⁾ Arbeiterraty i Soldatenraty — przedstawicielstwa robotników i żołnierzy, które — podobnie, jak w Rosji — powstały w Niemczech przy końcu wojny i przejęły władzę. 10 listopada powstała w Berlinie Centralna Rada robotników i żołnierzy, proklamowała siebie jako najwyższą władzę polityczną i zażądała natychmiastowego zawarcia pokoju i uspołecznienia narzędzi produkcji. Rada ta zatwierdziła powstałą w tymże dniu Radę sześciu pełnomocników ludowych, jako rząd polityczny (fachowi ministrowie mianowani 14 listopada), który przetrwał aż do chwili utworzenia pierwszego rządu normalnego (13 lutego 1919 roku). Po ukonstytuowaniu się tego rządu i zebraniu się niemieckiego zgromadzenia narodowego (6 lutego 1919) — Rady robotnicze i żołnierskie tracą swój wpływ i znikają latem 1919 roku.

i po powołaniu tego dziwnego rządu «Soldaten-» i «Arbeiter-
ratów».

Czytamy w nim: «Zebranie Komitetu Obywatelskiego odbyło się po południu o godzinie 3, w mieszkaniu dra Głowackiego, dyrektora «Vesty». Zanim się rozpoczęło, wkroczyli na zebranie wysłannicy Rady żołnierzy, oświadczając, że zebranie rozwiązują. Dopiero po wyjaśnieniu, że Komitet Obywatelski nie zamierza bynajmniej przeciwdziałać Radzie żołnierzy, lecz, przeciwnie, zdąży również do podtrzymania ładu i porządku, wysłannicy wojskowi zgodzili się na odbycie zebrania, zaznaczając, że jako delegatów Komitetu Obywatelskiego na zebranie Rady żołnierzy też Rada zamianowała panów Karola Rzepeckiego, Kazimierza Krajnę, dra Stanisława Krzyżankiewicza i Franciszka Budzyńskiego. Z łona Komitetu oświadczono, że ci czterej panowie są na zebraniu obecni i że do Komitetu należą, że jednak Komitet zastrzega sobie w całej pełni prawo swobodnego wyboru osób, a zarazem, że prosi o przyznanie Komitetowi siedmiu delegatów na pierwsze zebranie, które Rada wyznaczyła na godzinę 7 w gubernatorstwie poznańskim. Delegacja żołnierzy zgodziła się na to, po czym niemieccy delegaci zebranie opuścili, a za wzajemną zgodą pozostali na zebraniu trzej polscy delegaci żołnierzy».

Tak powstaje ta pierwsza próba rządzenia się polskiego. Od razu spotyka ona sprzeciw zaborcy, który narzucił jej swą formę, nieznaną dotychczas w Polsce, mianowicie formę Rady robotniczej i żołnierskiej. Ba, po pewnym czasie pertraktacje doprowadziły do zwycięstwa nazwy «Volksratu» nad nazwą Komitetu Obywatelskiego i nazwa ta znika prędko pod naciśnięciem zaborcy na korzyść «Polnischer Volksrat in Posen».

Ta «Rada Ludowa» przystępuje do współrządzenia. Pewne akty tego współrządu są dość komiczne. W «Kurierze Poznańskim» z dnia 13 listopada czytamy następujące «oświadczenie»:

«Pogłoska, jakoby legionści polscy byli w pochodzie na Poznań, zaniepokaja ludność. Rada robotniczo-żołnierska natychmiast utworzyła komisję, która pod przewodnictwem posła dra Seydy i z udziałem innych posłów polskich do parlamentu i sejmu udała się na granicę kraju. Posłowie polscy oświadczyli, że w żadnym wypadku nie dopuszczą do starcia z żołnierzami niemieckimi.

...Rada robotniczo-żołnierska oświadcza, że wykluczone jest zupełnie niebezpieczeństwo dla ludności Poznania ¹⁾...

¹⁾ Opuszczony tu w cytacie ustęp «oświadczenia» brzmi: «...Podtrzymanie spokoju i porządku jest zagwarantowane. Uchwalono utworzenie straży obywatelskiej, składającej się ze wszystkich kół ludności».

Wzywamy wszystkie klasy społeczeństwa, aby zachowały spokój i porządek».

Więc na skutek nacisku Rady żołnierskiej, «Volksrat» — «Rada Ludowa» w Poznaniu zarządza kroki dla powstrzymania nieprzyjacielskich jakoby kroków jakichś Legionów polskich, mających atakować Radę żołnierską niemiecką w Poznaniu.

Jak widać, te próby rządzenia są zawsze związane nie z czymś innym, jak z istniejącym dotychczas zaborcą, który narzuca formę pracy polskiej, nakazuje kroki nieraz przykre, prac jakoby do wystąpienia przeciw innym Polakom i nakazując utrzymać ściśle tę granicę, jaka była narzucona przez zaborców. Zaborca jest tu wciąż współrządnym rządem, zaborca istnieje obok Polaków.

Analizując próbę poznańską, która historycznie trwała względnie długo, musimy powiedzieć, że ona najbardziej i najsilniej podlegała zaborcy. Albowiem «Komisja Likwidacyjna» spokojnie i jasno stwierdziła, że jest tylko instytucją «likwidującą» stosunek zaborcy do Polski. W Poznańskim jest wyraźne współrządzenie, nawet uleganie dalsze zaborcy. Widać to ze wszystkich aktów, o których na chybił trafił mówiłem, dlatego, aby stwierdzić, że wszyscy w Poznańskim pod tym względem nie szli na dalej idące kroki.

Oto mam przed sobą znowu «Kurier Poznański» z 15 listopada, w którym jest odezwa wszystkich posłów Koła Polskiego w sejmie pruskim i Koła Polskiego w parlamencie niemieckim. Czytamy w niej:

«Patrzmy na niebывały przewrót stosunków politycznych i społecznych w Niemczech. Pod jego wpływem powstają wszędzie Rady żołnierzy i robotników. O ile w naszej dzielnicy zadaniem ich jest utrzymanie ładu, porządku i wyżywienia ludności, wzywamy lud polski, aby w tych granicach wszędzie z Radami żołnierzy i robotników współdziałał, zapewniając sobie przynależny wpływ».

Panowie, którzy są pod tą odezwą podpisani, nie mogą mieć chyba pretensji, żeby być specjalnymi amatorami «Soldaten-» i «Arbeiterratów». A jednak takie wezwanie podpisali.

Taką samą instrukcję znajdujemy w odezwie «Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej», podpisanej przez księdza Adamskiego, Korfantego i Poszwińskiego, gdzie czytamy:

«Rady Ludowe powiatowe, miejskie i gminne ... tam, gdzie istnieją Rady żołnierzy i robotników, postarają się o po-

rozumienie z nimi i o wprowadzenie do nich przedstawicielstwa polskiego» ¹⁾).

Znowu więc mamy fakty współistnienia obu władz, przymusowego współrządzenia i poddawania się władzy zaborców, jako władzy bardziej silnej, bardziej suwerennej.

Przechodzę do zaboru rosyjskiego.

Zabór rosyjski miał w owym czasie tę charakterystyczną cechę w porównaniu z innymi zaborami, że był rozdarty, podzielony według woli okupantów ²⁾). Jeżeli panowie zechcecie odtworzyć sobie w pamięci te miłe czasy, to przypomnijcie sobie, że, jadąc stąd do Warszawy, w pewnych miejscach na prawo od kolei był zabór austriacki, a na lewo zabór pruski ³⁾), tak, że na stacje, o ile były na prawo położone od toru kolejowego, trzeba było brać przepustki od władz niemieckich. Ten podział kraju wzdłuż linii kolejowej wzbudzał we mnie śmiech i twierdziłem wówczas, że z równym sensem można by poprowadzić granicę wzdłuż ulicy Marszałkowskiej w Warszawie i wymagać przepustek, pozwalających na przechodzenie z jednej strony ulicy na drugą.

Zaborca, t. zn. wojska niemieckie i wojska austriackie, gdyż okupacja była militarna, pokrajały zabór rosyjski w tym czy innym kierunku na najrozmaitsze części i z tego powodu narzuciły w czasie powstawania Polski inny sposób postępowania w różnych częściach byłego Królestwa. Dlatego znowu daty prób rządzenia w tej czy innej części tego kraju z sobą się nie zgadzają.

Próby w okupacji niemieckiej idą w parze i w pewnej równoległości z próbami w Poznańskim, gdyż zależały one nie od czego innego, jak od takich czy innych aktów, od pracy lub bezpracy zaborczego rządu. Ponieważ zabór austriacki, jak w ogóle cała Austria, usuwał dotychczasowe rządy pręcej, niż zabór niemiecki, więc Lublin, czyli okupacja austriacka, miał możliwość działania szybszego, w porównaniu z okupacją niemiecką.

Dla charakterystyki stosunków w okupacji niemieckiej wybrałem dokument, związany z moją osobą. Jak wiadomo, w końcu października 1918 r. utworzył się nowy rząd w Warszawie, t. zw. rząd Świeżyńskiego ⁴⁾), który mianował mnie mi-

¹⁾ Cytowane według «Kuriera Poznańskiego» z dnia 16. XI. 1918.

²⁾ Por. t. V, str. 136.

³⁾ Mowa o odcinku linii kolejowej między Sosnowcem a Częstochową.

⁴⁾ Rząd Józefa Świeżyńskiego był powołany przez Radę Regencyjną dnia 23 października 1918 roku bez zatwierdzenia władz oku-

nistrem ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, gdyż nic o tym nie wiedziałem i dowiedziałem się o tym, siedząc w Magdeburgu, z dziennika «Woche», wręzonego mi pokryjomu przez podoficera, mającego rozkaz mnie pilnować. Przeczytanie tej wiadomości, że już jestem ministrem polskim, wywołało śmiech ogromny zarówno u mnie, jak i u gen. Sosnkowskiego. Nie wiedziałem również o tym, że Świeżyński żądał mego zwolnienia. Na to żądanie kanclerz niemiecki odpowiedział:

«Pan prezes ministrów Świeżyński, Warszawa.

Mam zaszczyt potwierdzić Waszej Ekscelencji odbiór telegramu z dnia 23 października 1918 r., w którym pan donosi mi o objęciu urzędu prezesa ministrów i daje wyraz nadziei, że rząd niemiecki okaże gotowość internowanemu obecnie w Magdeburgu brygadierowi Józefowi Piłsudskiemu, wobec jego powołania na stanowisko ministra spraw wojskowych, umożliwić powrót do ojczyzny. Niemiecki zarząd okupacyjny zdecydował się w swoim czasie tylko z naglących względów utrzymania porządku i spokoju w kraju na to, aby brygadiera Piłsudskiego, który z początkiem wojny po stronie mocarstw centralnych walczył o uwolnienie swej ojczyzny i jako członek Tymczasowej Rady Stanu brał czynny udział w rozpoczętej przez mocarstwa okupacyjne budowie państwa polskiego, internować w Niemczech. Ekscelencja wyraża przekonanie, że leży to w dobrze uzasadnionym interesie obustronnym państw obu, aby brygadier Piłsudski niezwłocznie powrócił i objął powierzony mu urząd. Zapatrywanie to mógłbym podzielać tylko wtedy, gdyby brygadier Piłsudski porzucił wrogie stanowisko wobec władz okupacyjnych, które doprowadziło do jego usunięcia z Polski, i gdyby z całą szczerością stanął na gruncie przestrzegania obustronnych interesów państwowych. Jest w mocy polskiego rządu przyczynić się do tego przez dostarczenie zarządowi okupacji takich dowodów, któreby mogły usunąć wątpliwości, zachodzące obecnie w kwestii powrotu brygadiera Piłsudskiego, tudzież przez objęcie za dalsze zachowanie się jego takich poręczeń i gwarancyj, których żądać ma prawo rząd niemiecki, dopóki, jako władza okupacyjna, ponosi odpowiedzialność za utrzymanie spokoju i porządku na terenie okupacji.

Kanclerz Rzeszy

Maksymilian, książę Badeński ¹⁾.

pacyjnych i dymisjonowany reskryptem Rady z dnia 4 listopada tegoż roku.

¹⁾ Cytowane według «Kuriera Warszawskiego», z 1 listopada 1918 roku.

Z wielką przyjemnością odczytuję te słowa, od bardzo niedawna mi znane. Nie znając tej depešy, zawsze myślałem z podziwem, dlaczego tak uporczywie prześladowuje mnie oskarżenie o specjalny germanofilizm. Wytlumaczenie tego znajduję.

Natomiast odpowiedź Świeżyńskiego z dnia 2 listopada 1918 r. na tę depešę jest następująca:

«Na telegram Waszej Wielkokošiążącej Wysokości z dnia 31 października 1918 r. mam zaszczyt imieniem rządu polskiego ošwiadczyć, co następuje:

Według naszego rozumienia, powołanie na ministra obrony krajowej brygadiera Piłsudskiego służy za najlepszą gwarancję, że tylko w razie jego uwolnienia możemy wziąć odpowiedzialność za spokój w kraju i poprawne likwidowanie okupacji, niezbędne ze względu na obustronny interes.

Powrót Piłsudskiego jest dla rządu polskiego rękojmią utrzymania spokoju w kraju, wobec czego musimy ponownie kłaść nacisk na niezwłoczne umożliwienie mu przybycia do kraju.

Prezydent ministrów Świeżyński» ¹⁾.

Znowu więc znajdujemy tu określenie «likwidowanie», tak, jak gdyby to słowo słoło krok w krok, para w parze z pracą i próbami rządu w Polsce.

Wybrałem tylko te dwa dokumenty. Dlaczego? Dlatego, że ze wszystkich prób, czynionych w Polsce — o swojej powiem na końcu — próba rządu wbrew okupacji była ze strony rządu Świeżyńskiego najsilniejsza i najbardziej ostra. Jeźeli więc ta próba rządu wbrew okupantom, wbrew rządowi zaborczemu, miała taki charakter, że wszystkie słowa i określenia mówiły tylko o tym, że rząd okupacyjny jest silniejszy od rządu Świeżyńskiego, to wtedy nie ma mowy o innych, którzy byli znacznie słabsi w wystąpieniach, niż rząd Świeżyńskiego.

Przechodzę do t. zw. «rządu lubelskiego».

Został on stworzony bardzo późno w porównaniu z innymi próbami rządu, albowiem, jeźeli wszystkie próby rządu, o których mówiłem, noszą daty ostatnich dni października, to «rząd lubelski» ²⁾ przekracza październik i wchodzi pod koniec pierwszego dziesiątka dni listopada. Rząd ten miał więc w porównaniu z innymi, bardziej ułatwione zadanie.

¹⁾ Cytowane według «Kuriera Warszawskiego», z 2 listopada 1918 roku.

²⁾ Por. t. V, str. 15.

Rząd austriacki, jeżeli jeszcze miał co likwidować wewnątrz Austrii, na terenach państw z niej powstających — to w okupacji swojej w Królestwie nie miał nawet co likwidować, i był stroną słabszą w porównaniu z siłą zaborcy we wszystkich innych częściach Polski. Dlatego też w wystąpieniach «rządu lubelskiego» jest nuta, której gdzie indziej nie ma. Nuta, która mówi o rządzie, a nie o współrządzie i dlatego jest to próba, która poszła najdalej i najsilniej w kierunku stania się rządem polskim. «Rząd lubelski» poszedł nawet tak daleko, że przedstawiał się, jako rząd jedyny, i żądał od wszystkich innych prób rządu, aby mu się poddały¹⁾. T. zn., zrobił on pierwszą historyczną próbę zrobienia rządu jednolitego na całym obszarze Rzeczypospolitej, próbę, która jednak historycznie nie dała rezultatu.

«Rząd lubelski» powstaje wtedy, gdy proces osłabienia państw zaborczych już poszedł bardzo daleko, z drugiej zaś strony ma samego zaborcę najmniej zorganizowanego. Ma więc ten rząd ułatwienia takie, jakich kto inny nie miał, zarówno dzięki słabości zaborcy, jak i wskutek tego, że jest próbą rządu, powstała względnie późno. Wskutek tego cokolwiek mogłoby się mówić przeciw t. zw. rządowi lubelskiemu, pozostanie prawdą to, że poszedł on w próbie rządu najdalej i wygląda on pierwszy na rząd polski.

Konkurentem zarówno dla Niemiec, jak i dla «rządu lubelskiego», była t. zw. «Rada Regencyjna»²⁾, która istniała już wcześniej, jako rząd polski «in spe» i kontynuowała w swoich wystąpieniach ówczesnych próby rozciągnięcia tego rządu na razie na zabór rosyjski. Są nawet próby rozszerzenia jego władzy i na zabór austriacki, gdyż jest faktem, że do Krakowa, do «Komisji Likwidacyjnej», zjawił się przedstawiciel

¹⁾ W proklamacji rządu lubelskiego z dnia 7 listopada 1918 były następujące zwroty:

«Rada Regencyjna działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli ludu polskiego przestaje istnieć. W razie, gdyby Rada Regencyjna oraz rząd, przez nią utworzony, tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęte spod prawa. Ściganie i ujęcie w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego.

Istniejącemu obecnie w Warszawie prowizorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszym natychmiast podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcyj, w przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed trybunałem ludowym, którego skład i kompetencje będą niebawem ogłoszone».

²⁾ Por. t. V, str. 15.

«Rady Regencyjnej» ¹⁾), żądając od Komisji poddania się Radzie. Czytaliśmy w poprzednio przeze mnie cytowanych aktach, że istniały nawet pogłoski, jakoby ówczesny minister dla Galicji Gałęcki poddał się ówczesnemu rządowi warszawskiemu, czyli «Radzie Regencyjnej».

Jakiegokolwiek byłyby jednak czyjeś sądy o tych dwóch instytucjach, występujących w roli pewnych konkurentów, historycznie pozostanie faktem, że ani «Rada Regencyjna», ani «rząd lubelski» w pierwszych dniach Rzeczypospolitej Polskiej nie utrzymały się przez czas dłuższy.

Na innych obszarach Polski były również wówczas najrozmaitsze próby rządzenia się samodzielnie czy współrządzenia na podstawach polskich, próby jak gdyby przygotowania faktu stawania się Polski. Mówię tu o kresach.

Świeżo bawiąc w Wilnie, mówiłem ze znanym prof. Ruszczycem ²⁾), który mi opowiadał bardzo ciekawe szczegóły, jak przy wypieraniu zaborców, Niemców, próbowano wszędzie skupić się, aby próbować rządzić. W oszmiańskim powiecie próbowano za pomocą komitetów parafialnych być gotowymi do ujęcia w swoje ręce rządu w imieniu Polski. Takie próby znane mi są z Wilna ³⁾), Wileńszczyzny, Grodna i Grodzieńszczyzny. Dzięki specjalnym stosunkom rozbijały się te usiłowania na poszczególne części i kawałki — bez możliwości związania się w jedność.

Przechodzę do próby rządu emigracyjnego. «Komitet Narodowy» ⁴⁾ w Paryżu szedł na próbę utworzenia rządu na emigracji, podając się za rząd, bo ja wiem jaki, i próbując rządzić wspólnie ze zwycięzcami Niemiec i Austrii, wspólnie z rządami t. zw. «Ententy». Nawet był uznany przez jej rządy ⁵⁾). Nie śmiał on brać na siebie nazwy rządu, tak, jak to zrobił «rząd lubelski». Nazwał się skromnie nie komisją likwidacyjną, bo nie miał w «Entencie» czego likwidować dla Polski, a «Komitetem Narodowym», który był tylko próbą ze strony Polski

¹⁾ Dn. 31 października 1918 mianowała Rada Regencyjna Witolda Czartoryskiego komisarzem dla Galicji.

²⁾ Ferdynand Ruszczyk był wybitnym malarzem, profesorem Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, profesorem i dziekanem wydziału sztuki na Uniwersytecie Wileńskim.

³⁾ Mowa o «Samoobronie Litwy i Białorusi» — por. t. VI, str. 100.

⁴⁾ Por. t. V, str. 45.

⁵⁾ Polski Komitet Narodowy w Paryżu, był uznany oficjalnie przez Francję (20 września 1917 roku), Anglię (15 października 1917 roku), Włochy (30 października 1917) i Stany Zjednoczone (1 grudnia 1917 roku).

kierowania losami Polski wspólnie z innymi. Prawa suwerenności nie brał na siebie, bo zaznaczył zbyt silnie, kto z nim współrządzi, zresztą — jak miał wykonywać prawa suwerenności w stosunku do Polski, z oddalenia, z Paryża? Próba tego rządu o tyle była w tym czasie słaba, że, jak panom wiadomo, przy zawieszeniu broni, które też wypadło na okres listopadowy, nie próbowano nawet, jak przypuszczam, wymagać tego, ażeby Polska została oswobodzona od Niemiec czy Austrii, i odłożono, że tak powiem, żądania Polski na czas lepszy, albowiem w podpisanym ostatecznie 12 listopada zawieszeniu broni z Niemcami ani słowa o Polsce nie ma ¹⁾). Nie ma w nim wymagania od Niemiec, aby w stosunku do Polski jakiegokolwiek nakazane paktów wykonały.

Przechodzę wreszcie do prób moich.

Powróciłem z Magdeburga 10 listopada. Próby moje od razu były bardzo nikłe. Byłem przerażony tym, co zastałem, i chciałem — wyznam — najbardziej tchórzliwie uciec z Warszawy. Zastałem tam bowiem to, co w myślach nazwałem od dawna konkubinatem z zaborcą, konkubinatem, w którym zaborca jest zawsze silniejszy od Polski. Dlatego, zastawszy stan chaosu — półrewolucji, pół — nie wiem czego — chciałem nazajutrz wyjechać z Warszawy. Wykazałem więc tę samą niechęć do rządu, tę samą niechęć do wyraźnego postawienia sprawy, jaką mieli wszyscy inni, robiący w owym czasie próby rządu. Byłem w tym pierwszym okresie prześcignięty przez «rząd lubelski», o którym, gdym przyjechał, nie miałem zielonego pojęcia.

Zastałem w Warszawie ten sam fakt — jak go nazywam — konkubinatu z zaborcą, konkubinatu, z którym mieli do czynienia i nasi rodacy w Wielkopolsce. «Arbeiterrat» nie mógł być tu sformowany, bo nie wystarczyło na to sił, ale za to «Soldatenrat» został tu również stworzony. W nocy tego samego dnia, w którym przyjechałem, zjawili się do mnie przedstawiciele «Soldatenratu» ²⁾ z prośbą o omówienie sposobu, za pomocą którego można by było zarządzić likwidację okupacji, czyli istnienia zaborcy w Polsce. Pamiętam dobrze ten moment, gdy w chwili kładzenia się spać zjawiono się do mnie sześciu czy siedmiu panów, pierwszy raz widzianych, którzy mi prośbę ułożenia sposobu likwidacji zakomunikowali. Daremnie dowodziłem, że to do mnie nie należy i że nie chcę się do tego mieszać, że to należy do «Rady Regencyjnej» i napróżno

¹⁾ Por. t. V, str. 51.

²⁾ Por. t. V, str. 13.

namawiałem ich, by zwrócili się do kogo chcą, ale nie do mnie. Wtedy ci panowie wyrazili swoje obawy, że jeżeli się zwrócą do jednych, to drudzy za to tylko, że się do tamtych zwrócili, zaczną na nich napadać i zarzynać, gdy zaś zwrócą się do przeciwników «Rady Regencyjnej», to kto wie, czy «Rada Regencyjna» nie zacznie ich napadać i wyrzynać. W położeniu tym, w jakim się znaleźli, muszą mieć gwarancję, że żołnierze, oficerowie, żony oficerskie i t. d. powrócą do kraju. Żądają odpowiedzi, gdyż jutro będą musieli przejść do zabezpieczenia swego życia i swoich podwładnych. Wtedy dopiero się zaważałem i postawiłem warunek, że mogą wziąć na siebie obronę ich życia, ale muszą przyrzec posłuszeństwo. Ewakuacja odbędzie się na mój rozkaz, nie na ich. Cały materiał kolejowy i cała broń pozostanie w Polsce. Tylko w tych warunkach idę na zgodę. Delegaci odwołali się do swoich «Soldatenratów» i przyjęli te warunki.

Pierwsze więc moje próby czynione były znowu w okolicznościach, które słusznie nazwałem konkubinatem, od którego nie można się było uwolnić. Różnica była tylko ta, że w tym konkubinacie ja byłem na górze, a zaborcy na dole.

Nie będę się zatrzymywał nad pracami moimi w tych pierwszych dniach po powrocie do Polski, bo zdążam do ustalenia daty, daty, zdaniem moim, jedynej, którą można wybrać dla powiedzenia, że Polska jest. Bo próby tworzenia rządu, o których będę mówił jutro, to jest co innego, ale dopóki ten rząd polski nie wydał jakiegoś edyktu, usłuchanego historycznie, dopóty Polski, jako państwa, nie było. Dlatego też przy przebieżeniu myślą swojej pracy ówczesnej, zatrzymam się na jednej wyraźnej dacie, którą ze swej strony proponowałbym jako datę prawnie i historycznie sprawdzoną, na dacie, która mówi, że Rzeczpospolita istnieje, bowiem wszystkie zarządzenia, które wtedy zostały uczynione — zostały przez Polskę usłuchane i trwają nawet dotychczas.

Jest to mój dekret, ustalający naczelne władze państwa ¹⁾, i dekret, nakazujący wybory sejmowe ²⁾. Pochodzą one z końca listopada. Zarządzenie, zawarte w dekreście, podpisanym przeze

¹⁾ Mowa o dekreście o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej z dnia 22 listopada 1918 roku, na mocy którego Marszałek Piłsudski objął, jako «Tymczasowy Naczelnik Państwa, najwyższą władzę Republiki Polskiej» aż do czasu zwołania sejmu ustawodawczego.

²⁾ Mowa o dekreście, o wyborach do sejmu ustawodawczego z dnia 28 listopada 1918 roku, zarządzającym wybory na dzień 26 stycznia 1919 roku na podstawie ordynacji wyborczej, ustalonej dekretem z dnia 28 listopada 1918 r.

mnie dnia 22 listopada 1918 r., a kontrasygnowanym odręcznie przez ówczesnego prezydenta ministrów Moraczewskiego, ustaliło fakt istnienia Naczelnika Państwa, fakt istnienia rządu z musiem odpowiedzialności czyjejs przed czymś¹⁾, wreszcie nazwę: Rzeczpospolita Polska. Wszystkie tym dekretem ustanowione instytucje istniały przez dłuższy czas. Istniał Naczelnik Państwa, istniał prezydent ministrów, kontrasygnujący jego zarządzenia²⁾, pomimo, że Naczelnik Państwa z tego stanu nie bardzo się cieszył, i t. d.

Drugi fakt, to wydanie dekretu o ordynacji wyborczej i o wyborach do sejmu, dekretu, podpisanego 28 listopada. Istotnie na skutek tego aktu historycznie sejm został na podstawie zarządzonej wówczas ordynacji wybrany, zebrał się³⁾ i trwał te nieszczęsne cztery lata mojego naczelnikowania.

Więc okres pomiędzy 22 listopada a 28 listopada 1918 r. jest okresem ostatecznego sformowania się państwa. Jeżeli wezmę datę 28 listopada, jako datę dekretu, zarządzającego wybory do sejmu, dekretu, który w całej swojej rozciągłości został przez obywateli państwa wykonany, to przyjmując ją jako datę powstania państwa polskiego, byłbym w porządku ze swoim określeniem, że wtedy państwo poczyna istnieć, gdy dekrety i ustawy rządu są przez obywateli usłuchane. Wiązę więc swoją propozycję z datą 28 listopada. 28 listopada jest bardzo bliski 29 listopada, tym bardziej, że dekret ten był podpisany w nocy. Łączy się to ściśle z datą 29 listopada, z dniem rocznicy powstania listopadowego. Wtedy ustanawiałem również miejsce rezydencji Naczelnika Państwa. 29 listopada przeniósłem się do Belwederu⁴⁾ i dotychczas ten gmach jest rezydencją państwa.

Znowu więc mamy fakt, który, wtedy ustanowiony, trwał historycznie przez pewien czas dłuższy, tak, jak stworzona wówczas władza centralna, podpisująca dekrety, które historycznie znalazły powszechny posłuch u obywateli.

Panowie, jeżeli przy tej mojej próbie ustalenia daty Rzeczypospolitej Polskiej mówiłem przykro, to — powtarzam — mówiłem o sobie samym również przykro. Chciałem stchórzyć

¹⁾ Art. 2 tego dekretu brzmiał: «Rząd Republiki Polskiej stanowią mianowani przeze mnie i odpowiedzialni przede mną aż do zebrania się Sejmu Prezydent Ministrów i Ministrowie».

²⁾ Art. 4 tego dekretu brzmiał: «Akty rządowe kontrasygnuje Prezydent Ministrów».

³⁾ Por. t. V, str. 55.

⁴⁾ Piłsudski przeniósł się w tym dniu ze swego mieszkania przy ul. Mokotowskiej 50 do Belwederu.

i chciałem w pierwszym momencie uciekać z Warszawy. Mówię to samo sobie, co innym, więc proszę się nie obrażać.

Przechodzę do drugiej części mego odczytu, która się tyczy stylu epoki owych dni. Jestem zdania, że ten, kto nie chwyta stylu danego okresu, nie jest historykiem, nie ma prawa mówić prawdy o danej epoce. Styl to jest coś, co ściśle określić się nie da; jest to jednak to, co zmusza w pewnym okresie czasu ludzi nawet niechętnych do mówienia zarówno w aktach urzędowych, jak i na ulicach, rzeczy podobnych i robienia mniej więcej jednego i tego samego. Ten, kto nie potrafi wykryć stylu danego okresu, kto nie umie przeżyć wewnątrz siebie życia pewnej epoki, ten nie jest w stanie zrozumieć tego czasu, który chce badać. Daremnie będzie się silił na przedstawienie tych czy innych form organizacji, takich czy innych aktów. W splocie różnych faktów zawsze pozostaje styl, który nie wykryty nie da klucza, że tak powiem, do duszy danego okresu. Dlatego też staram się możliwie wniknąć w pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej i danemu okresowi historycznemu wyszukać styl, zrozumieć ówczesnego człowieka, zrozumieć jego nędzę, biedę, słabość.

Pierwszą rzeczą, która się w tej epoce rzuca od razu w oczy, jest słabość, słabość, wyrażająca się w niemożności powiedzenia tego, czego się chce. Na zegarze dziejowym bije godzina Polski. Wszyscy nie mają sił, aby powiedzieć to, co zegar wydzwania. Wszyscy jak gdyby szukają ucieczki od wypowiedzenia tego, co każdy pragnie, do czego każdy dąży. Uciekają tak, jak ja chciałem uciec z Warszawy, w której zatrzymał mnie nie kto inny, jak «Soldatenrat».

Wszyscy chwytają się półpowiedzeń, półdecyzyj. Rządem jest «Komisja Likwidacyjna», rządem jest «Volksrat» poznański, rządem jest nierządząca «Rada Regencyjna», która rządzenie w nocy komuś innemu oddaje ¹⁾, rządem są efemerydy, które, jak «rząd lubelski», występują i w kilka dni konają. Wszędzie mamy półsłowa, półśrodki, półdecyzje, charakteryzujące ogólną słabość.

Słabość ma zawsze jedną konsekwencję — zamiłowanie do wielkich słów bez treści. Mamy też to wszędzie. Jeżeli się przebiega dokumenty historyczne, czyta ówczesne określenia, znajdziemy wszędzie pompacyjne słowa, którym treść nie odpowiada. Wszędzie, że tak powiem, słowa przekraczają zamiary, gdyż zamiary istotnie są skromne, a wielkie słowa wyrzucane są jak gdyby dla przykrycia skromnych zamiarów, dla

¹⁾ Por. t. V, str. 14.

ukrycia swej niemożności istotnego wprowadzenia w życie tego, co się mówiło. Jest to charakterystyka zawsze słabości. Silny nigdy tak nie postępuje.

Związana jest z tym jakaś dziwna nerwowość, która jest też wpływem słabości. To, co jest, wie się dziś, a nie wie się, co będzie jutro. Wydaje się, jak gdyby wypadki biegły, nie licząc się najzupełniej z tym, co człowiek mówi i co myśli, przerastając w danej godzinie człowieka, który jest za mały w stosunku do zdarzeń. Stąd ciągle oczekiwanie, że ktoś coś zrobi.

Jest wreszcie słabość, polegająca na poczuciu zależności od czego, co nie jest Polską, i na braku sił do złamania tego, co nie jest Polską. Nie jest nam przyjemny konkubinat, jednak na ten konkubinat idziemy, godzimy się na współrzędzenie z tym, co nas chce załamać. Wszystkie te wybitne cechy słabości są najbardziej charakterystyczne dla stylu owej epoki.

Jest jeszcze jeden rys ówczesnego stylu, niezależny zupełnie od nas samych. Ulegamy temu, co idzie z zewnątrz. Jest charakterystycznym, że w tym czasie wszyscy, którzy byli przeciwnikami pewnych słów, nieraz bardzo surowo je sądząc — sami zaczynają te właśnie słowa wypowiadać. Więc mówią o «szerokich warstwach pracujących», o «konieczności udziału ludu» w tym czy innym, o «konieczności ludowładztwa» — wszyscy przeciwnicy «ludowładztwa» i «warstw pracujących». Dochodzą oni do tego, że, nienawidząc tych określeń, spokojnie podpisują te wszystkie słowa w aktach urzędowych. Powtarzam, trudno podejrzewać wielu ludzi, podpisanych pod aktami «Rady Ludowej» poznańskiej, aby byli zakochani w «Arbeiterratach» i «Soldatenratach», a wypowiadają słowa, związane z «Arbeiterratami» i «Soldatenratami», i kładą pod tym swoje nazwiska i imiona. To samo jest z rządem Świeżyńskiego, którego odezwy do ludności mówią o konieczności wprowadzenia do rządu wielkich idei sfer ludowych ¹⁾ i t. d., i t. d., gdy nikt poprzednio nie podejrzewał ani Świeżyńskiego, ani jego rządu o żywienie takich chęci.

Ten mus ulegania podobnym słowom stanowi styl epoki

¹⁾ Odezwa rządu Świeżyńskiego zawierała następujące zwroty:

«...rząd polski rozumie, że jedynie olbrzymi, zbiorowy wysiłek narodu, a nade wszystko pracującego ludu polskiego, sprosta wielkiemu zadaniu stawianemu pod gmach zjednoczonej, wolnej Polski ludowej», — rozumie również — «...że interesy warstw uprzywilejowanych muszą w tej historycznej godzinie ustąpić dobru Ojczyzny», i że jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki; że «Rząd narodowy, w większości swej z przedstawicieli pracującego ludu złożony, powstać powinien bezzwłocznie».

ówczesnej. Tym stylem szli wówczas specjalnie sąsiedzi nasi z prawa i lewa, z zachodu i wschodu, i Polska ulega pod tym względem temu, co idzie z zewnątrz. Jest to charakterystyczne dla zbiorowych poczynań naszej duszy. Jeżeli wezmę szumnie brzmiące odezwy «rządu lubelskiego», to wątpię, czy rząd ten chciał wszystkie w nich wypowiedziane słowa wprowadzić w życie ¹⁾ — tyle jest tam określeń nie swoich, ale żywcem wziętych z manifestów takich czy innych rządów.

Niedawno, przed przyjazdem do Krakowa, rozmawiałem o pewnych cechach «rządu lubelskiego» z posłem Poniatowskim ²⁾, który był w nim ministrem rolnictwa. Od niego dowiedziałem się, że pierwszym aktem «rządu lubelskiego» było doprowadzenie nie do czego innego, jak do porozumienia obywateli ziemskich ze strajkującymi parobkami, gdyż rząd ów obawiał się, by wskutek strajku nie powstały trudności aprowizacyjne. Po rozmowie z p. Steckim ³⁾, jak i z innymi właścicielami ziemskimi, opublikował za pomocą plakatów, bo innego środka zawiadomienia nie miał — zniesienie strajku przeciw tym obywatelom ziemskim, którym groził nie wiem czym w odezwach. Ten system, który zmuszał ludzi do pewnego jak gdyby fałszowania siebie, jest niechybnie stylem epoki.

Cechą dalszą owego okresu pierwszych dni Rzeczypospolitej jest niezwykła rozbieżność wszystkich prób rządzenia. Wygląda to tak, jakby czterdziestu mężów próbowało robić każdy z nich odrębny rząd, a za nic w świecie nie chcą się oni porozumieć między sobą.

Wszędzie próby są odrębne. Wszędzie te próby na coś ciągle jeszcze czekają, żeby się porozumieć i wtedy dopiero próbować stworzenia ogólnego rządu. Wszędzie jest ta dziwna rozbieżność celów tych prób rządzenia i środków, używanych dla tych celów. A więc likwidacja, jak to stawał sprawę zabór austriacki, który tym samym zacieśniał się tylko do pewnej części Polski, bo likwidacja tyczyła się tylko Austrii. To samo w zaborze pruskim. Ale tym zajmę się szerzej w następnym wykładzie.

¹⁾ Manifest «Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej», ogłoszony w nocy z 7 na 8 listopada 1918 r. w Lublinie, proklamował między innymi upaństwowienie donacyj, majoratów i lasów, oraz zapowiadał wniesienie do sejmu projektów ustaw o wywłaszczeniu wielkiej i średniej własności, o upaństwowieniu kopalń i t. p.

²⁾ Juliusz Poniatowski, który brał udział w Legionach i w pracy P. O. W., był ministrem rolnictwa w rządzie lubelskim.

³⁾ Jan Stecki, były poseł do pierwszej i drugiej Dumy, minister spraw wewnętrznych za Rady Regencyjnej, przedstawiciel sfer ziemiańskich.

Pozostaje wreszcie jeszcze jeden styl owej epoki, którego nie chcę wywyższać specjalnie, lecz który istnieje historycznie, t. zn. styl żołnierski. Ten styl nie był tylko naszym stylem. Przecież rządy «rad żołnierskich» były wymysłem innych. Styl ten jest związany z epoką wojny, dlatego też styl żołnierski robi swoje, wywiera swój wpływ. I wyznaję panom, że ze wszystkich ówczesnych stylów najbliższy mi był styl żołnierski, gdyż był on najszybszym w postępowaniu, gdyż nie dawał się wyprzedzać wypadkom, gdyż szukał wyrazu siły, gdyż szukał on zawsze zrobienia czegoś tak wyraźnego i jasnego, by nikt już potem nie był w stanie temu zaprzeczyć.

Dlatego też mamy wówczas wszędzie jakby wyodrębnienie się wojska od tego, co nie jest wojskiem. I choć to wojsko było nieraz słabe, czy w owej chwili nikłe, to jednak wszędzie mieliśmy natychmiast do czynienia z szukaniem jakiejś władzy wojskowej, która bierze wszystko w rękę i przez to samo ratuje społeczeństwo od tego chaosu, który idzie na Polskę. To też kiedy próbowałem odezwać się do żołnierzy, wszędzie stanęli mi oni z pomocą, bez względu na to, jaki był ten żołnierz.

W Warszawie natychmiast gen. Rozwadowski poddał się pod moje rozkazy, gdy tego od niego zażądałem, pomimo, że był dowódcą odrębnej zupełnie jakiejś części armii¹⁾. Tak samo wyodrębnił się Rydz-Śmigły z «rządu lubelskiego»²⁾ i oświadczył, że słucha mojej komendy. Tak samo tutaj, w Krakowie, Roja również natychmiast poddał się jednej władzy wojskowej.

I to jest, panowie, ten styl żołnierski, który ogromnie ułatwił pracę dziejową w owym czasie, by wyprzedzając innych, stworzył potem mus ulegania tym faktom. Na to bowiem nie ma ratunku, że ten, kto w tyle idzie, musi ulegać temu, co naprzód kroczy.

Panowie, muszę zakończyć ten wykład przykrą dla mnie koniecznością mówienia o sobie.

Czy człowiek ma prawo mówić o sobie?

Jestem postawiony w tym dziwnym położeniu w Polsce, że jeżeli ktoś mówi o sobie — to mówi o mnie rzeczy przykre, lecz jeżeli ja mówię o sobie — to nie jest to w porządku, to ja choruję na egotyzm. Przyzwyczailem się oddawna do takiego stawiania sprawy. Twierdzę, że mam pewne prawo mówienia

¹⁾ Gen. Tadeusz Rozwadowski był wówczas «Szefem Polskiego Sztabu Głównego».

²⁾ Tymczasowy Rząd Ludowy swoim aktem z dnia 7 listopada 1918 r. zamianował «Komendantem naczelnym wszystkich wojsk polskich — zastępcę J. Pilsudskiego, plk. Edwarda Rydza-Śmigłego».

o sobie, gdyż każdy historyk, który się zetknie z tą epoką, musi mówić o mnie, musi mówić, czy chce, czy nie chce, o tym obiekcie historycznym, który się nazywa Józef Piłsudski, dlatego, bo byłem skazany na pracę indywidualną. Moja praca indywidualna polegała na tym, że naczelników państwa nie mogło być dwóch w jednym państwie, jak równie dwóch naczelnych wodzów. Mimo wszystkie rozbieżności, jakie wówczas istniały, Polska doszła jednak do tego zrozumienia, że nie potrzebuje sześciu czy dwunastu naczelników państwa i dwudziestu pięciu naczelnych wodzów.

Wobec tego, że byłem na tych stanowiskach jednym, historia musi trzymać się tego faktu, iż przez dłuższy okres czasu był w Polsce człowiek, który się nazywał Józef Piłsudski i który był skazany na indywidualną pracę, czy to jako Naczelnik Państwa, czy jako Naczelny Wódz armii polskiej.

Dlatego muszę mówić o sobie i o swoim stylu personalnym.

Pamiętam dobrze tę chwilę, kiedy, o niczym nie mając żadnych informacji, wyjechałem pociągiem specjalnym, złożonym z jednego wagonu i lokomotywy, z Berlina do Warszawy. Miałem jako towarzysza, opiekującego się mną, jakiegoś oficera pruskiego¹⁾, który, zdaje się, uciekał wtedy od «Soldatenratów», gdyż na każdej stacji wyskakiwał, wypytywał się, czy w tej miejscowości jest już «Soldatenrat», czy «ancien régime»²⁾ i z ulgą komunikował nam wiadomości, że tu jeszcze stary porządek panuje.

Oficer ten przez cały czas bał się, by jego misja odstawienia niebezpiecznego towaru do Polski nie została skontrolowana przez inną władzę. Odsyłał mnie bowiem z Niemiec «ancien régime» w chwili przymusowego konkubinatu z nową władzą, i oficer bał się, że odstawienia mnie do Polski może dokonać rząd inny. Z Polski żadnego pozwolenia na przyjazd nie było.

Jechałem, nie wiedząc zupełnie, co w Polsce się dzieje, gdyż jedynym informatorem moim, który mi podczas swej u mnie wizyty w hotelu berlińskim parę słów o Polsce powiedział, był hr. Lerchenfeld³⁾.

Ja i gen. Sosnkowski skazani byliśmy na zupełną niewiadomość tego, co się w Polsce dzieje. Nie dawano mi w niewoli żadnego pisma, prócz «Magdeburger Zeitung». Dlatego, nie mając zupełnie żadnych danych, nie miałem w pociągu nic innego do roboty, jak myśli i marzenia, wytykające sobie takie

¹⁾ Mowa tu o rtm. Pawle van Gülpenie.

²⁾ Dawny rząd, dawna administracja.

³⁾ Por. t. IV, str. 117.

czy inne drogi postępowania, gdy się zjawię w Polsce. I muszę powiedzieć panom o jednym stylowym dla mnie marzeniu, które nie przestało dotychczas być marzeniem. Sądziłem, jadąc radośnie wreszcie do Polski, że w chwili, gdy Polska pośpiesznie się buduje, zastanę tam kochanych i niekochanych rodaków, zmieniających pod wpływem tego samego faktu, że Polska powstaje, i swoje dusze i że w ich piersiach znajdę pierwiastek siły, którego dotychczas w Polsce brakowało. Z tym marzeniem i z tą iluzją przyjechałem do Polski.

Panowie widzieli, gdy mówiłem tu o ówczesnej słabości, że zostałem rozczarowany bardzo silnie. Przy pierwszym spotkaniu swym z Polską nie znalazłem tego, czego się spodziewałem.

WYKŁAD II

(16 listopada 1924 r.)

Szanowne panie i panowie! Wczoraj mówiłem o stylu tych dni, w których Polska się stawała. Wskazałem, jako na główną cechę tego stylu — na słabość. Słabość nieodłączna jest od stanu niewoli, od stanu zależności. Dlatego cechę tę można było przewidzieć, oczekiwać jej, gdyż i poprzednie dni dawały zawsze słabość Polakom.

Dziś chcę się zająć inną cechą owej epoki — rozbieżnością usiłowań Polski, cechą, która niekoniecznie wynika tylko ze słabości, która musi mieć więc specjalne swoje przyczyny.

Mówiłem już wczoraj o tej rozbieżności usiłowań, która źródło swe miała w ówczesnej słabości Polski. Wszędzie we wszystkich próbach rządzenia, z wyjątkiem może «rządu lubelskiego», widzieliśmy jak gdyby konieczność tego przekłętogo konkubinatu z zaborcą, który jeszcze istniał, z którym Polacy współdziałali czy to z musu, czy to pod wpływem rozważy i rozumu, czy to dla tych, czy innych racyj.

Ta jak gdyby konieczność kondominium Polaków i zaborców, wynikająca ze słabości polskiej, wytwarza rozbieżności w poszczególnych częściach Polski, gdyż zależni jesteśmy nie od swojej woli, ale od woli zaborców. Stwarza to mus stawiania sobie innych celów w różnych częściach Polski i używania innych środków w każdym z tych, jakby sąsiadujących ze sobą państewek polskich. Rozbieżność, stąd płynąca, wywiera ogromny wpływ na przebieg pierwszych dni Rzeczypospolitej Polskiej.

Niestety, rozproszenie usiłowań polskich szło jeszcze da-

lej. Nawet dla jednakowego celu wytwarzał się jak gdyby mus stosowania zupełnie różnych środków. Gdy nad tym faktem się zastanawiałem i próbowałem go zanalizować, zawsze przychodziłem do wniosku, że najlepszym określeniem, tłumaczącym rozbieżności, tak daleko idące, jest słowo: «ghetto».

Co to jest «ghetto»? «Ghetto» to ugrupowanie ludzkie, które mimo, że musi współżyć w tych czy innych dziedzinach z otoczeniem, wytwarza dla siebie swoje wewnętrzne prawa, swoje ustawy i ustawki, nieznane innym, a które są dla tego ugrupowania ludzkiego silniejsze, niż jakiegokolwiek inne zewnętrzne działania.

Każde «ghetto» tworzy określenia, niezrozumiałe dla innych, każde «ghetto» stwarza język, swój żargon, tworzy słowa, które obowiązują «ghetto», a które nieznane są innym ludziom.

Nie wiem, czy gdziekolwiek w naszej historii jest epoka, czy są gdziekolwiek dni, w których walka o słowa była tak silnie rozwinięta, jak w owym czasie, gdy słowa ukochane przez jednych były wstrętne dla drugich, gdy na podstawie słowa bez treści sypano oskarżeniami, gdy słów jednych nie chcieli rozumieć drudzy i gdy te same słowa, które gdzie indziej przez ludzi były używane, jako element zgody, u nas doprowadzały do walki.

Znam te «ghetta» słów, w których niektóre wyrazy i określenia są święte i dotknąć ich nie wolno, «ghetta», w których słowa i określenia łączą ludzi dla celów, mających nieraz z tymi słowami bardzo mały związek. Znam ten żargon niezrozumiały dla innych, a który ułatwia współżycie «ghetta», ułatwia pracę takiej czy innej kliki, takiej czy innej grupy. Gdzie istnieje prawo języka «ghettowego», istnieją zamknięcia do życia «ghetta» i istnieje wspólna niechęć do wszystkiego, co poza «ghettem» się znajduje, co innego używa żargonu i inaczej o słowach myśli.

Należałem zawsze do ludzi, którzy byli przeciwnikami «ghetta», którzy się starali wyjść poza nie. Dlatego w każdym ugrupowaniu ludzkim, w którym kiedykolwiek byłem, byłem uważany za coś w rodzaju heretyka, za człowieka, który z zamiłowaniem walczy przeciw słowom, walczy przeciw świętościom, walczy przeciw słowom, które treści nie mają. We wszystkich ugrupowaniach, do jakich w życiu swoim należałem: czy to było małe stowarzyszenie gimnazjalne, czy większy związek, zmierzający do jakiegoś celu — zawsze byłem taki sam. Był to mój styl personalny, który nieraz dawał mi wielkie plusy, gdyż «ghetta» łatwiej rozumiałem, gdyż łatwiej pustość dźwięków i słów spostrzegałem i łatwiej istotny sens rzeczy

chwyciłem, bo mnie nigdy żadne prawo «ghetta» i żadna świętość słów, żadne ukłony w kierunku takiego czy innego pustego dźwięku nie brały.

Jak panowie wiecie, przeszedłem podczas wojny światowej przez silne «ghetto», jakim były Legiony. Znaćcie barwny styl Legionów, który wytworzył specjalne określenia, zrozumiałe tylko dla tego zrzeszenia. Dla jego języka trzeba by encyklopedię stworzyć, aby zrozumieć znaczenie i siłę jego «ghettowych» określeń. Przyszedłem do Polski ze swojego «ghetta», z tego «ghetta» silnych określeń, nie bojących się niczego, nie dbających o żadne inne «ghetta» i przechodzących z radosnym uśmiechem nad wszystkim w Polsce do porządku dziennego.

Siłę wszelkich «ghett» polskich powiększał element zaskoczenia. Jak widzieliśmy wczoraj, Polska w owym okresie nie tworzy swych losów i dziejów samoistnie. Zapoczątkowanie wszystkich prób samodzielności było często zawisłe jedynie od tego, czy zaborca słabnął, czy padał; próby te były zależne od tych czy innych zmian w Wiedniu czy w Berlinie, od zwycięstw dalekiej «Ententy». Zależeliśmy od działań innych i dlatego wypadki skakały naprzód lamparcim skokiem, wyprzedzając myśli i działania Polaków, stwarzając coraz to nowe sytuacje, coraz to nowe konieczności, do których słaby dopasować się musiał. Ten element zaskoczenia sprawiał zawsze to, że «ghetta» polskie, będące w tyle, stanowiły hamulec, nie pozwalały na ruch, nie pozwalały na przystosowanie się do nowo stworzonych sytuacji. A wypadki w stosunku do Polski biegły z szybkością elektryczności, a nie powolnym ruchem żółwia. Godziny na zegarze dziejowym spieszyły, były szybko jedna za drugą, jak gdyby wymagały od Polaków, aby szli w takt bicia zegaru, gdy godzina do godziny stawała się niepodobną.

Może najwięcej zaskoczonym byłem ja sam. Przyszedłem z miejsca, gdzie przez rok cały nie miałem w ręce ani jednego polskiego drukowanego słowa, gdzie przez rok cały nie widziałem ani jednego Polaka, gdzie przez rok cały nie współżyłem w ogóle z Polską. Czulem na sobie ten ciężar izolacji, odcięcia od całego życia, czulem tę nieznaną ludzi, zmieniających się w tej godzinie dziejowej szybciej, niż poprzednio, czulem jakieś waśnie, o których nic nie wiedziałem, czulem jakieś spory, z którymi nigdy nie miałem do czynienia. Byłem sam, zupełnie samotny.

Przyjechałem, jak mówiłem, z myślą, że odrodzenie Polski odrodzi i dusze, że znajdę innego człowieka, który łatwiej, niż przedtem, do zadań życia dopasowywać się będzie.

Miałem wtedy ciągle do czynienia z próbą wytworzenia jakiegoś centralnego rządu. Wszystkie usiłowania zbliżenia ludzi do siebie, zmuszenia ich do współpracy ze sobą, pękały mi w rękę w jednej chwili, gdym tego zagadnienia dotykał¹⁾. Nikogo namówić nie mogłem, aby przekroczył przekleństwo «ghetta», przekleństwo języka «ghettowego», aby Polacy zechcieli się zastanowić nad koniecznością współpracy, nad koniecznością umowy i nad koniecznością ugody już nie z zaborcą, lecz z samymi sobą.

Nie mogłem niczego zrobić. Gdym pertraktował z «rządem lubelskim», to ten w całości oświadczył mi natychmiast, że z nikim w całym zaborze rosyjskim pertraktować nie będzie i z nikim do zgody nie pójdzie. Pod wpływem mego nastawiania zgodził się wreszcie «rząd lubelski» pójść na próbę pertraktacji z obcym dla tego «ghetta» elementem, ale tylko z takim, który pochodzi z zaboru pruskiego. Zgoda, powiedziałem, i wezwałem panów z zaboru pruskiego, aby zechcieli stanąć do współpracy, do wspólnej roboty.

Panowie! Dwa ciężkie dni spędziłem na katorżnej robocie, aby słuchać «ghettowych» określeń jednej i drugiej strony, które w żaden żywy sposób punktu styczności nie znachodziły, bo słowa jednych wzbudzały u drugich od razu słowa przeciwnie, bo mus sprzeczności wyrastał natychmiast. Dwa długie katorżne dni spędziłem na słuchaniu tych samych argumentów, powtarzanych co godzina, a sprzecznych z sobą. Zdawało mi się, że mam do czynienia z ludźmi, z których każdy mówi innym językiem, chcąc widzieć w słowach to, czego w tych słowach nie było, i robiąc wrażenie ludzi, którzy przyszli jedynie po to, aby w twarz sobie pluć, a nie po to, by sobie podać rękę.

Mówiłem w przeszłym wykładzie o stylu pierwszych dni Rzeczypospolitej, o tym musie i nakazie, który szedł na słabą Polskę z lewa i z prawa, z Zachodu i Wschodu, nakazie, który cisnął i dusił, i zmuszał ludzi do wypowiedzania słów innych od tych, którymi chcieliby naprawdę mówić. Był mus bycia radykalnym, mus wypowiedzania wspaniałych słów, których nigdy przedtem nie mówiono, słów o «rządach rzesz pracujących», o «ludzie, który musi wziąć władzę w swoje ręce». Ten mus skłaniał, jak mówiłem, panów w Poznańskim do wypowiedzania słów, których może nawet nienawidzili, do ulegania

¹⁾ Jest tu mowa o pertraktacjach, prowadzonych w dniach 11—17 listopada 1918 roku przez Józefa Piłsudskiego z przedstawicielami stronnictw politycznych. Por. t. V, str. 18—19.

presji «Soldatenratu»; ten mus kazał rządowi p. Świeżyńskiego wydawać demagogiczną proklamację¹⁾.

Mimo dwóch dni katorżnej pracy dla znalezienia możliwości współpracy, nie byłem w stanie «ghetta» przełamać, żargonu usunąć. Żargon i prawa «ghetta» były silniejsze!

Niemożność osiągnięcia porozumienia wydaje się tym dziwniejszą, że wszyscy zdają się mówić rzeczy podobne. Dla przykładu biorę «Kuriera Poznańskiego» z dnia 15 listopada 1918 r. Jest w nim umieszczona, cytowana już przeze mnie, odezwa posłów polskich, należących do Koła polskiego w sejmie pruskim i do Koła polskiego w parlamencie niemieckim. Znajdziemy w tej odezwie następujące zwroty:

«Ginie świat stary, rodzi się nowy. Z gliszców i pożarów powstaje nowy ustrój ludzkości, związek narodów, a filarami jego wolność narodów, swoboda obywatelska i sprawiedliwość społeczna»,

a dalej:

«Doniosłość chwili wymaga skupienia wszystkich sił narodowych i podziału brzemienia odpowiedzialności na koła najszersze. Przyszła Polska ludową będzie i ludem tylko stać może».

Wyrażenia te niedaleko odbiegają od stylu proklamacji «rządu lubelskiego». Dlaczegoż jednak panowie Poznańczycy, gdy w Warszawie się znaleźli, tutaj słów takich uznać nie chcieli? Bo te same słowa inaczej były rozumiane w «ghettowym» języku poznańskim, a inaczej w języku «ghettowym» «rządu lubelskiego», bo «ghetta» te zazdrość i zawiść wzajemna unosiła, bo «ghetta» te nienawiścią na siebie pluły.

Proszę zastanowić się, jak było ciężko przedrzeć się przez te «ghetta», aby coś wspólnego dla wszystkich zrobić, aby zacząć spajać w jeden rym usiłowania, wszczęte po różnych kątach Polski i używające tak rozmaitych i rozbieżnych środków.

Każdego historyka, który ówczesne dokumenty i podpisy, pod nimi położone, odczytywać będzie, zastanowi na pewno i ten jeszcze dziwny fakt, że ci sami ludzie w jednym miejscu zgodnie pracować mogą, a w innym miejscu ci sami ludzie kłócić się muszą.

Proszę wziąć «Komisję Likwidacyjną». Składała się ona ze wszystkich możliwych stronnictw²⁾, ze wszystkich możli-

¹⁾ Por. t. VIII, str. 107.

²⁾ Skład partyjny Komisji Likwidacyjnej dn. 28. X. 1918 r. był następujący: 6 ludowców, 4 narod.-demokr., 4 socjalistów, 3 polskich demokr., 2 polskich konserwatystów, 1 ze zjednoczenia narod., 1 z partii postępowej, 1 z partii robotn.-narod., 1 ze śląska.

wych «ghett». Wszyscy razem w niej się znaleźli i pomiędzy siebie najrozmaitsze funkcje podzielili. Waśnie i spory mogły sobie gdzieś dalej iść, ale to nie przeszkadzało temu, że można było zasiadać do jednego stołu i przy czarnej kawie i papierosie spokojnie — jak ongiś w Wiedniu — rzeczy roztrząsać.

Ci sami ludzie, gdy nie o konkubinat z zaborcą a o próbę centralnego rządu polskiego chodziło, stawali się wrogami, nie chcącymi pomiędzy sobą rozmawiać. Wyglądało to tak, jakby w Wiedniu czy Berlinie, pod batem zaborcy, zawiści wstrzymywać i godzić się umiano. Umiano w «ghettach» parlamentarnych przy czarnej kawie zasiadać i ręce sobie podawać, by niekiedy szynk czy koncesję z rąk zaborcy wyrwać, a niekiedy wśród obcych taką czy inną pracę dla Polski zrobić. Ale ten mus opanowania siebie niknął natychmiast, gdy Wiedeń i Berlin znikły.

Zjawiał się mus kłótni i sporów nawet nie między stronnictwami, a między «ghettami», przekraczającymi podział na partie. Dlatego te same słowa, które były używane w oficjalnych enuncjacjach posłów polskich do Berlina, stawały się, jak wskazałem, zdrożnymi w Warszawie. Przy tak olbrzymim pomieszeniu w tych pierwszych dniach Rzeczypospolitej «ghett» i żargonów wydawało mi się niekiedy, że, gdy wszystkie «ghetta» jednakowo usiłują i dążą wszelkimi środkami do wiecznego plątania węzłów jednego za drugim na sznurze dziejowym, to nie ma siły, aby te węzły, raz po raz wiązane, można było co chwila rozplątywać i że nie ma innego wyjścia, jak użyć siły Aleksandra Wielkiego, który węzeł gordyjski mieczem przeciął.

W «ghettach» wszelakich, które niewola u nas stworzyła, wytworzyły się odrębne żargony. Ten mus mówienia innym językiem był tak silny w Polsce, jak silną była niewola. A przywiązanie do słów było wtedy ogromne. Słabość siły istotnej nie posiada i dlatego nagość swą ubiera w słowa, słów szuka, aby się upiększyć. Stąd ta psychologiczna niejako konieczność kochania słów, w które stroiła się tęsknota do siły. Dlatego w tym momencie, gdy niewola ustawała, gdy zaczynało się stawanie się Polski, tak wielkie znaczenie i moc miały słowa i określenia, nie mające nieraz z istotą rzeczy nic wspólnego.

Wszędzie wówczas, gdzie polska mowa się rozlegała, tworzyły się lokalne ugrupowania polskie, usiłujące stworzyć siłę własną. Takie usiłowania były zarówno w Polsce centralnej, gdzie zaborców siła osłabła najbardziej, jak i na kresach, gdzie Polacy łączą się dla znalezienia siły zarówno w dzikich warunkach rewolucji rosyjskiej, jak i tam, gdzie istniał nacisk

niezlamanej jeszcze potęgi niemieckiej ¹⁾). Wszystkie te lokalne ugrupowania, trzymające się jednego ogólnego nakazu, by siłą Polski wytworzyć, stwarzają równocześnie coraz to inne lokalne «ghetta». Tworzą się nowe węzły, utrudniające pochód ku jedności, czyniące ten pochód uciążliwym i trudnym.

Głównymi «ghettami» były zabory. W swoich odczytach, wygłoszonych niedawno w Wilnie o 1863 r. ²⁾), mówiłem, że styl epoki 1863 r. jest całkiem inny, niż styl epoki mojego pokolenia. Wówczas były tylko mechaniczne związania krwi polskiej z zaborcami, chemicznego związku krew polska nie dopuszczała. Przy krążeniu krwi państwowej w olbrzymich organizmach zaborczych mamy wtedy zawsze to zjawisko, że sole obce, idące z zewnątrz, artretyzmów i podagry starczej w naszym organizmie nie wywoływały.

Styl epoki naszej, epoki popowstańczej, był inny. Krew państw zaborczych miała siłę dokonywania w naszej krwi przemian chemicznych, wywołujących w tych czy innych załomach podagrę starczą.

Jakże ten właśnie styl jest widocznym w chwili, gdy w r. 1914 godzina dziejowa początek Polski wydzwaniała! Wszyscy Polacy poszli wtedy na służbę do swoich zaborców. Styl epoki 1863 r. nie pozwoliłby na takie zachowanie się, taki fakt w tamtym pokoleniu byłby niemożliwy.

Po przełomach wojennych, po burzach, pożogach i mordach, po trudach i zmęczeniach, które wojna wywołała, po wysługiwaniu się zaborcom, po daniu im krwi swojej, po przeklętej epoce t. zw. «orientacyj» zjawia się mus, nad którym przejść do porządku dziennego nie było można, mus wytworzenia własnego rządu. Czyż panowie w tych chwilach, gdy Polska się stawała, gdy szły godziny, które Polskę musiały budować, nie znajdziecie przekleństwa epoki niewoli, choć Polska już jest wolna, a jej zaborcy w proch padli? Czyż nie znajdziecie «orientacyj», «ghett», które zaborcom służyły, a teraz zaborcze plwociny w oczy innym Polakom plują, «ghett», rzucających oskarżeniami, «ghett», podstawiających sobie nogi? Sole krwi zaborców tworzą podagrę, sole zaborców, w krwi polskiej będące, zmuszały do plwocin, przekleństwo niewoli wiązało «ghettowe» węzły i wzniecały spory o słowa, które już żadnej treści nie miały.

Bo niech by sobie ktoś był kiedyś moskalofilem, austrofi-

¹⁾ Jest tu mowa o okupacji wojskowej niemieckiej na Kresach; por. t. V, str. 123.

²⁾ Por. t. VIII, str. 50—89.

lem, czy germanofilem. Prosty interes wykluczał, by ktokolwiek w Polsce w godzinie jej powstania mógł być germanofilem, austrofilem czy moskalofilem. To było skończone. A przecież tymi oskarżeniami pluły na siebie stronnictwa. Te krzyki i wrzaski niczym innym nie były, jak echemi przeszłości, która znikiała, a rzeczywistością było to, że — gdy cały świat w pokoju poczynał żyć — na Polskę, zmęczoną wojną, szła nowa pożoga, nowa burza, i że Polska o synów wołać musiała.

Panowie! Gdy epokę tę badam i śladów siebie w tych dniach szukam, doznaję jakiejś niechęci. Byłem zawsze przeciwnikiem wszelkich «ghett», przeciwnikiem przykładania słowom zbyt wielkiej wagi. Byłem człowiekiem, rozkochanym w «*réalité des choses*» ¹⁾, szukającym rzeczy samej, która słowami nieraz określić się nie daje, a o której zawsze jednak pamiętać trzeba. Byłem człowiekiem, który fizycznie choruje, gdy decyzji powziąć nie może, który spieszenie wszystko na bok odrzuca, by mieć przed sobą najprostsze rozstrzygnięcia: «tak» lub «nie» i który wtedy, gdy «tak» lub «nie» powiedzieć sobie nie może, wybiera trzecie rozstrzygnięcie: «odłożyć».

Człowieka tego los rzucił, aby przeniósł kłótnie, brak decyzji i spory o słowa, w których wartość do tego nie wierzono. Dałem panom wczoraj przykłady tego stylu szumnych słów i robienia tego, co z tymi słowami było sprzeczne. Jak Polska szeroka i długa, wszędzie i ciągle biegła ta sprzeczność słów wielkich z małymi czynami.

Kłócono się o drobiazgi, najczęściej o słowa. «*Réalité des choses*» zanikła w powodzi sprzeczności słów, w mnóstwie węzłów, zaplątywanych codziennie, co godzina na sznurze dziejowym, węzłów, które prosiły i błagały, by miecza wydobyć i ciąć je jeden po drugim.

Gdy sięgam pamięcią w owe czasy, gdy myślą dzień po dniu i tydzień po tygodniu przebiegam, gdy przypominam sobie ówczesną pracę innych i swoją, to nie szukam goryczy, a prawdy jedynie, która daje historię, tę wielką mistrzynię życia. Prawda cicho jeszcze stąpa przez Polskę, która historii swojej dotychczas nie zna.

A prawda jest tak łatwa: wszyscyśmy grzeszyli, wszyscy byliśmy słabi, wszyscyśmy od musów dziejowych uciekali. Czyż prawda tak trudna jest do powiedzenia? Czyż trzeba przez słowa kłamliwe nowe węzły plątać? Czyż łącać ciągle o Polsce trzeba, gdy się o sobie mówi?

Powtarzam zawsze i błagam: prawdy pod korcem nie

¹⁾ Por. t. VI, str. 185.

chować, bo ona wyjdzie, skoro jedno kłamstwo drugiemu zaprzeczać musi. Nie wiem, czy dzieci nasze, swoimi oczkami na nas patrząc, nie wyczuwają tej powodzi kłamstwa, w której rodzice żyją, i czy nie trwożą się główki dziecinnie, gdy widzą starszych tak zakłamanych.

Mówilem o stylu dziejowym pierwszych dni Rzeczypospolitej, o słabości polskiej i jej skutkach, o «ghettach», które stworzyło przekleństwo niewoli. Niech mi będzie wolno na zakończenie usprawiedliwić i te objawy:

Nie lubię kliwionych poetów, lecz umieją oni niekiedy dawać cudne określenia. Rosyjski poeta Natson ¹⁾ mówi gdzieś w jednym ze swych małych wierszyków, jak to serce ludzkie jest dziwne, że kajdany kwiatami wiosny ubierać musi.

Z przeżyć moich sięgam do dni największego mojego tryumfu, gdy hejnał zwycięstwa bił mi w piersi, gdy dzień wielki swój święciłem, gdy do Wilna swego, jako zwycięzca, wkraczałem ²⁾, gdy konno po ulicach Wilna jechałem, gdy przede mną szwadron podkowami po bruku tętnił i gdy wtedy w takt podków śnił mi się — dźwięk łańcucha. I gdzieś pod powieką u zwycięzcy łza tęsknoty się zbierała za snami pięknymi niewoli, które Mickiewicza nam dały, za cierpieniami i bólami, za zapachem kwiatów, które kajdany ubierają.

Podczas naszej długiej stuletniej przeszłości, gdyśmy wolności nie mieli, wytworzyliśmy, biegnąc tęsknotami z pokolenia na pokolenie, swoje życie niewoli i swoje życie kajdan. Ileż cudów piękna dało to życie, ileż tęsknot, bólów i cierpień, ileż szczytów pozwoliło osiągnąć!

Idą teraz godziny za godzinami, zwycięstwo za nami, przed nami szerokie życie. Burz dla nerwów nie ma, piękno jakby stygnie i człowiek czeka na nowego człowieka, aby piękno odrodzenia gdzieś wyszło, piękno chwil wiosny — wiosny nowego polskiego życia.

Gdy myślę o tym, zbliżając się co krok do grobu, to zawsze mi się zdaje, że odrodzenie, piękno i pieśń odrodzenia nie z naszych niewolniczych piersi się wyrwie — że piersi dziecinnie i głosiki dziecięce tę pieśń, gdy dorosną, wyśpiewają, że one zobaczą Polskę odrodzoną, pełną śmiechu i szczęścia, gdy my, niestety, spotkaliśmy Polskę z kwasem śledzinników i burzeniem ludzi o chorych żołądkach.

¹⁾ Natson Siemion Jakowlewicz, poeta liryczny rosyjski z drugiej połowy XIX w.

²⁾ Dnia 21 kwietnia 1919 roku.